

Zejsście z drogi donikąd

Roztropny Zeleński nie chce stać się obiektem presji przyszłego hipotetycznego rządu Trumpa, więc zmienia front, ostrożnie zawiadamiając o tym samych Ukraińców. Ta zmiana, już dziś będąca politycznym sukcesem Trumpa, nie gwarantuje jeszcze lepszej przyszłości Ukrainy.

Wygląda na to, że w Kijowie następuje właśnie mentalny przełom, gdy idzie o kwestię najtrudniejszą dla Ukraińców: przyjęcie do wiadomości faktu, że nie ma sposobu, aby uniknąć częściowego rozbioru kraju. Dla obserwatora z zewnątrz Ukrainy było to niemal oczywiste od początku rosyjskiej inwazji z lutego 2022 roku, a na łamach „Teologii” wielokrotnie powtarzano, iż zwycięstwem Ukrainy w tej wojnie będzie ocalenie niepodległości, a nie integralności terytorialnej. Ale co innego mówić takie rozsądne rzeczy siedząc sobie bezpiecznie za szaniami wschodniej flanki NATO, zabezpieczanej przez Amerykanów, a co innego powiedzieć to rodzinom tysięcy zabitych w tej wojnie ukraińskich chłopców, albo dalszym tysiącom straszliwie okaleczonych przez wojnę. Gdyby Ukraina dostała realne gwarancje swego przyszłego bezpieczeństwa – czyli *de facto* zaproszenie do NATO, odroczone w czasie do zakończenia wojny – to taki przełom mentalny w Kijowie byłby o wiele łatwiejszy i być może dokonałby się dużo wcześniej. Niestety, jak wiadomo, to zaproszenie było i jest nadal konsekwentnie blokowane przez dwóch przywódców, którzy swoim uporem w tej sprawie źle zapisują się na kartach historii. To Joseph Biden i Olaf Scholz.

Władze w Kijowie dawkują Ukraińcom wiedzę o następującym przełomie ostrożnie, w małych dawkach, tak po łyżeczce. Nie ma bynajmniej jakiejś zasadniczej patriotycznej mowy Zeleńskiego do narodu, w której objaśniałby nowe polityczne konieczności. Jest za to doniosły lipcowy wywiad prezydenta Ukrainy dla BBC, o którym Ukraińcy dowiadują się niejako „z drugiej ręki”. Zeleński mówi tam o perspektywie zakończenia „gorącego etapu wojny przed końcem tego roku”, rzucając tak niemal od niechcienia, jako całkowitą oczywistość, że: „wszystkie terytoria nie zostaną odzyskane walką zbrojną”. Przechodzi też bez słowa do porządku dziennego nad wydanymi przez samego siebie dekretami, wedle których każda negocjacja z Putinem byłaby zdradą kraju, pytając retorycznie: „Putin, nie Putin, a cóż to za różnica?”. Ten polityczny zwrot sygnalizowany był w Kijowie, zapewne nieprzypadkowo, parę tygodni wcześniej. Już w maju gen. Wadim Skibicki – wiceszef ukraińskiego wywiadu i zaufany człowiek prezydenta wzbudził zdziwienie dziennikarza „Economista”, gdy powiedział mu tajemniczo, że: „takie wojny zawsze muszą się kończyć traktatami”. A sam Zeleński parokrotnie zauważał, iż trzeba zwołać kolejną konferencję w sprawie pokoju na Ukrainie, ale tym razem z udziałem Rosji.

Nie ma wątpliwości, że katalizatorem przemian mentalnych w Kijowie jest w pierwszym rzędzie rozwój zdarzeń politycznych w Ameryce. Lipiec roku 2024 zapisał się z jednej strony jako czas rozsypki obozu Bidena, prowadzącej do upadku jego kandydatury prezydenckiej, a z drugiej – jako pasmo nadzwyczaj fortunnych przypadków Trumpa, od fiaska najpoważniejszych oskarżeń prokuratorskich, aż po szczęśliwe ocalenie życia w zamachu. A szczególną okazję do przetaczającej się przez zachodnie media fali ostrzeżeń i lamentów nad losem Ukrainy stworzyła nominacja wiceprezydencka, jaką Trump dał J.D. Vance’owi –

bodaj najwybitniejszemu politykowi amerykańskiej prawicy młodego pokolenia. Vance (jak wiadomo) nie kryje tego, że kijowskiej ekipy Zełeńskiego po prostu nie lubi, gdyż uważa ją po pierwsze za skorumpowaną, a po drugie – stawiającą sobie cele militarne, których nigdy nie będzie w stanie osiągnąć. Jak nie bez racji mówił w Kongresie USA: „Niekończącej się wojny naród amerykański tolerować nie będzie w stanie”. Pod wpływem Trumpa i Vance’a na konwencji republikanów w Milwaukee cel szybkiego zakończenia wojny w Europie wpisano jako najważniejszą, obok konfrontacji z Chinami, ideę polityki amerykańskiej, jeśli kandydat republikański wygra listopadowe wybory.

I tu właśnie stała się rzecz najbardziej znacząca, świadcząca o ciągle wysokiej jakości politycznego przywództwa Ukrainy. Ekipa Zełeńskiego mogła dość łatwo ześlizgnąć się do roli serwilistycznego potakiwacza setek (jeśli nie tysięcy) historycznych przestróg polityków oraz alarmistycznych materiałów telewizyjnych, twittów i artykułów prasowych, nawołujących do ratowania Ameryki, Ukrainy i całego świata przed Trumpem i republikanami. Byłoby to zapewne dobrze widziane w oficjalnym Waszyngtonie, w Brukseli, a także w największych mediach, mogących pokazać Zełeńskiego w antytrumpistowskim chórze. Początkowo mogło się nawet wydawać, iż tak właśnie się stanie, gdy Zełeński mówił niemieckim dziennikarzom z Grupy Axela Springera, że Trump ma „bardzo prymitywne” recepty dla Ukrainy. Skądinąd sam przywódca Ukrainy ma powody, aby do Trumpa podchodzić z nieufnością, skoro ten dla własnego interesu wciągnął swego czasu Zełeńskiego w fatalną dlań wewnątrzamerykańską intrygę, dotyczącą korupcji syna Bidena. A jednak w Kijowie postąpiono w końcu inaczej. Zamiast basować antytrumpistowskiej kampanii, Ukraina zaczęła szukać realnych korzyści, jakie mogłaby wyciągnąć z odmieniających się wewnątrzamerykańskich koniunktur.

Zresztą w Kijowie muszą być świadomi tego, co przywódcy Zachodu, z Bidenem na czele, usiłują ukryć, przynajmniej na jakiś czas, przed własną opinią publiczną. Że mianowicie w trzecim roku wojny zachodnia strategia na Ukrainie poniosła fiasko. I nawet kontynuacja ograniczonej pomocy wojskowej i finansowej dla Kijowa, akceptowana na waszyngtońskim szczycie NATO, nie jest zdolna odwrócić wyniszczających i coraz gorszych militarnie dla Ukrainy rezultatów przewlekłej wojny. Ekipa Bidena odmówiła zamknięcia przestrzeni powietrznej nad Ukrainą na samym początku wojny; nie dostarczyła na czas broni, która pozwoliłaby latem 2022 roku wyprzeć Moskali; zabroniła armii ukraińskiej atakowania terytorium Rosji, co było jedyną szansą na skłonienie Kremla do ewakuacji z Ukrainy; a w końcu zablokowała zaproszenie Kijowa do NATO, czyli realną gwarancję przyszłego bezpieczeństwa. Przez cały ten czas, od lutego 2022 aż do chwili obecnej, postronnemu i beznamiętnemu obserwatorowi trudno było uniknąć wrażenia, że Ameryce chodzi o to, aby wojna z Rosją trwała, ale bez ukraińskiego zwycięstwa, którego skutków na Zachodzie się obawiano. Trump i Vance tym się właśnie różnią, że otwarcie mówią, iż takiej przewlekłej wojny nie chcą i gotowi są wymusić na obu stronach jej przerwanie. I w Kijowie dostrzeżono w tym szansę na wygrzebanie się z beznadziejnego impasu.

Przesłanie płynące coraz wyraźniej z Ukrainy musiało być niespodzianką dla czytelnika zachodnich gazet i portali informacyjnych, oswojonego już z napastliwo-lamentliwym tonem antytrumpistowskiej propagandy, w której troska o los Ukrainy odgrywa przecież nie od dziś kluczową rolę. Szerokim echem odbiła się opublikowana na portalu agencji UNION analiza Aleksandra Kowalenki – jednego z najbardziej wziętych ukraińskich ekspertów, objaśniających bieg wojny na użytek mediów. Kowalenko argumentował, że skala

wsparcia dla Ukrainy ze strony przyszłego rządu Trumpa byłaby prawdopodobnie większa niż dotychczas, gdyż Trump, jako typowy amerykański imperialista, nigdy nie pozwoliłby sobie na bezowocność wysiłków Ameryki, coraz bardziej widoczną pod rządami Bidena. Istotnie, jeśli wobec trudno przewidywalnego Trumpa w ogóle coś można w tej materii przewidywać, to tylko jedno z dwojga. Albo szybkie wymuszenie zawieszenia broni na obu stronach, albo militarny nacisk na Moskwę, gdyby ta kontynuowała wojnę. Roztropny Zeleński nie chce stać się obiektem presji przyszłego hipotetycznego rządu Trumpa, więc zmienia front, ostrożnie zawiadamiając o tym samych Ukraińców. Ta zmiana, już dziś będąca politycznym sukcesem Trumpa, nie gwarantuje jeszcze lepszej przyszłości Ukrainy. Ale jedno jest pewne: jest to jakaś próba zejścia z dotychczasowej ukraińskiej drogi donikąd.

Jan Rokita